

Co mi pod rzesą świta?

Debiutancki tomik **Daromiły Wąsowskiej-Tomawskiej** „Zza cieni i obłoków” ukazał się w 2004 roku, w serii wydawnictw Salonu Artystycznego im. Jackowskich. Obejmował dwa cykle – „Święte Drzewo Świata” i „Gałązkę zdziczałego bzu”. Tę pierwszą książkę prezes Salonu, rozmiłowanej w klasycznej muzyce, należy uznać za udany początek poetyckiej drogi. Świadczą o niej głosy recenzentów i opinia prof. Jerzego Świdzińskiego, który tak pisał o poezji Daromiły Wąsowskiej-Tomawskiej, w postłowie do tomiku: „Jest ona stworzona z potrzeby serca, intymna, szczerza, jest rozmową ze sobą, zaledwie dotykiem tego z czego składa się życie. Autorka nie sili się tu na wielkie dramaty, lecz cicho niejako „szepcem” ukazuje dramaty słów i zdarzeń”.

Nowa książka nawiązuje do poprzedniej, nosi tytuł „Smuga i promień”. Jest w tym zapowiedź rozgrywania poetyckiej problematyki w kategoriach światła, ciemności, przestrzeni, krajobrazu i tajemnic widzenia. Bogaty jest świat poetki. Płyną przez niego rzeki, „Wije się snuje / trwa spektakl”, otwierają się różowe usta pagórka, „ramię Gwiazdy / tuli umarłych”, dolina odsłania się kłosem. Zdumienie i zachwyt nad urodą świata. Poprzez naturę, jej dynamikę, próbuje autorka, zgodnie z tytułem pierwszego cyklu („Znaki”), odczytać szyfr materii – świata objawionego i stojącą za nim metafizykę, sacrum. Wszystko jest tu ważne i prawdziwe: każda chwila, kamień, słowa zmarłych, ptak, brzemienne jałówka i czyjaś piosenka. Cykl zawiera kilka wierszy inspirowanych Osobą i nauczaniem Jana Pawła II. Autorka nie waha się podejmować kluczowych tematów naszej współczesności i niedawnej historii: „11 września 2001”, „Oświęcim”, „Tryptyk” (poświęcony pamięci ks. kanonika Józefa Jamroza, bestialsko zamordowanego), „21:37”. Ważne są też trzy wiersze wigilijne. To właśnie one pomogą nam odpowiedzieć na pytanie: co łączy wiersze omawianego cyklu pt. „Znaki”? Wydaje się, że tym słowem jest (artykułowana, ewokowana w różnym wymiarze) Miłość. Wyraz ten niezmiernie rzadko pojawia się w książce ale mówi nim wiele wierszy: miłość Boga, słowo Jana Pawła II, uczucie człowieka do człowieka. Wreszcie i umiłowanie każdej chwili – boskiego daru, aktu ośnienia i łaski.

Bardziej kameralny wymiar mają przez swą intymność, wiersze składające drugi cykl książki „Spod rzesy” – m.in. „Zwrotka o Matce” („Ziemia uwolni skrzydło / motyla / I odsłoni się stopa / Matki”), obrazy dzieciństwa ciągle ważne, żyjące w pamięci („Nad Samą”, „W lesie”). Świat kreowany przez Daromiłę Wąsowską-Tomawską jest przepojony, przesycony muzyką: („Benedicta wciąż błogostawiona / i nazwali ją – Muzyka / jedna z tajemnic Boga”), „Beethoven”. Słychać dźwięki nokturnu, Chopin w Paryżu gra mazurki, we wronczyńskim dworze ktoś pisze nuty w sztambuchu. Specjalne miejsce zajmują w tej twórczości góry („Droga – promień”), „Wołyńskie Rzeki”, „Na Orawie”) ale nie ma w nich potęgi i siły Boskiego ramienia. Są źródłem intymności, „Krajobraz tak blisko / jak wczorajszy oddech”, ptak wije tu gniazdo. Pejzaże Daromiły Wąsowskiej-Tomawskiej i te górskie i te najbliższe, bo inspirowane rodzinną ziemią wielkopolską, budują ułankowe jak w mozaice, obserwacje, kolory, przestrzenie: „ważka na strzępie / trawy trzciny / przechyla słońce”, „chyli się już horyzont

/ rzesą zamyka światło”. „Język miłości” (to tytuł wiersza) opowiada dramatyczne dzieje uczucia dwojga ludzi „połamany językiem / chwili”, róża budzi uśpione kolana, świeca przechyla cień – a wszystko – „ten jedyny błysk / mgnienie”. Tytułowe „Spod rzesy” kształtuje, ogląda intymny świat poetki, sprowadza go do wymiaru niby literackiej gry, proponuje inne widzenie, perspektywę, w której wszystko staje się kameralne, ciepłe w ludzkim, kobiecym wymiarze świata i losów człowieka.

Uporządkowanie wierszy w dwa wyżej omówione cykle – „Znaki” i „Spod rzesy”, pomaga zrozumieć świat obrazów i myśli poetki. I tak (upraszczając), można by zaryzykować, że na „Znaki” składają się teksty z problematyki: Bóg – człowiek – świat – czas – wieczność. Drugi cykl książki to – dzieciństwo, chwila, muzyka, tradycja rodzinna i miłość. Zwracają uwagę udane neologizmy: wyśpiew, odpamiętać, westchniany, odpomni się i in.

Daromiła Wąsowska-Tomawska podtrzymuje, rozwija język, poetykę, którymi pisała swój debiut. Buduje teksty zwarte, oszczędne w wyrazie, pełne skrótów, paradoksów. Charakterystyczny jest dla autorki unikalny nastrój, liryczny klimat. Zjawiska, tajemnicze kosmiczne oglądamy w ziarnku piasku, Z kolei mikro – świat, to co ledwo dostrzegalne, wyrasta do zdumiewających wymiarów.

JERZY GRUPIŃSKI

Daromiła Wąsowska-Tomawska, „Smuga i promień”, Wydawnictwo – Salon Artystyczny im. Jackowskich, Pobiedziska 2007.

Jestem pomysłem Pana Boga na człowieka

(fragmenty)

Kupiłem zeszyt i kilka długopisów. Obejrzałem, pomacałem. Ucieszyłem się, że zrobiłem dobry nabytek. Wreszcie napiszę dzieło. Agatka pyta: Jak ty się czujesz? „Pomalowałem się długopisem” – odrzekłem. „Jak to się pomalowałeś długopisem?” „No tak. Pomalowałem.” „Tylko nie wycieraj w spodnie.”

Cień Ara rozmarzył się. „Gdybym był kobietą, na łonie zasadziłbym koperek.”

Nie ma we mnie pragnień. Kiedyś na pewno były. Nie dalek jak wczoraj myślałem, że dobrze byłoby wyjechać na parę dni. Gdziekolwiek. Skasowałem ostatnie nagranie z irlandzką muzyką relaksacyjną. Nie dają rady. Chciałem odprężyć się przy szeleście liści z pastwisk i szumie kontynentów. Historia z życia dwóch sekund mojego organizmu: jedynie jakieś przyruchy, skurcze. Dlaczego komputer podkreśla czerwoną, szarpaną linią słówko „przyruchy”. Czyżby imię mojego stanu psychicznego nie istniało? A może to prawda: mnie nie ma, mojego pisania tu i teraz nie ma, a jest tam i gdzieś, w niebycie, w nicości, w czarnej dziurze. Ból w klatce piersiowej i suchy kaszel z tyłu pleców. Klucie i zryw suchego kaszlu. I spokój. Szumi w uszach morze. Parcie na pęczek. Kołatanie głowy. Przyjdzie czas wesela. Słyszę Agatkę: „Coś ci się śniło?” „Poważne dialogi

między ludźmi. Nie mogą się ruszyć.” „Pójdę i zrobię ci herbaty. Chcesz czekolady, ostatnie dwa kawałki?”

Cień Ara podniósł powieki; zdziwił się, że była taka szarówka w pokoju, ale wstał i siadł przy stole. Naprzeciwno czekał trup Cienia Ara.

Wreszcie pomyśl, żeby coś napisać, s.o.s., wolać. Danie na wynos, na wynos się ze mnie. Jezu, jak się paskudnie czuję ze sobą. Nerwowo. Uwiera coś jak przyciasny kubraczek. Na razie nie mam odwagi zmierzyć się z tym czymś, z tym „ja”, które mi nie pasuje, które mi bruździ w życiorysie, wierci w duszy otwórki na wrażliwość. Durszlak. Wyciekam na świat i męcę się ze sobą. Kiedyś znalazłem jeden grosz na chodniku, złocisty kawałek metalu. Podniosłem. Zdmuchnąłem drobiny ziemi i pomyślałem, że dziś będę szczęśliwy. Nigdy nie jestem szczęśliwy, więc dłaczego akurat tego dnia miało być inaczej. Nie było inaczej. Było tak samo. Potknąłem się i rozdarłem spodnie. A miałem wrażenie, że to dusza tak się rozdarła. Pyskata dziwka.

Cień Ara przymierzył garnitur w sklepie z odzieżą dla mężczyzn i uznał, że marynarka jest dobra, a spodnie się podłoży. Przy wystającym tyłku trudno coś kupić na ulą.

Na chwilę, tylko na chwilę humor poprawia mi biała kawa. Jakie dziwaczne nazwanie, „biała kawa”; po prostu cholerna czarna kawa z odrobiną mleka lub śmietanki; „ciemnobrązowa kawa”, tak brzmiałoby zdecydowanie lepiej, ale lepiej dla kogo? Lepiej dla zasady decorum, dla zasady „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Widzimy, dostrzegamy, ale nazywamy bez większego sensu. Wszystko zmienia swoją pierwotną treść. Nic nie ma swojego dawnego znaczenia. Ciągłe, przeciągłe metamorfozy bez filozofii, bez idei przewodniej, bez refrenu. Agatka ubrała bluzkę w deseń parasolki. W tygryska. Przystępu do Agatki nie ma Armagedon, Beliar i Astaroth. W domu jednak kataryna. Leci z nosa rzadki, wodnisty katar.

Cień Ara oznajmił do wewnątrz, że trzeba się uśmiechnąć. Nie uśmiechnął się jednak, mimo obietnicy, bo gryzł go smutek.

Wszedłem do dużego, ograniczającego powietrze, pokoju. Włączyłem światło. Trzasnęło, ale się zaświeciło. Trzasnęła jedna żarówka. Teraz świeci tylko osiem, a powinno dziesięć, jedna prasnęła jeszcze miesiąc temu. Wyciąłem kawałek tektury i zastawiłem nim kratkę wentylacyjną w toalecie. Nie wziąłem taboretu, jeno stanąłem na desce sedesowej. Wydawało mi się, że słyszę pęknięcie plastiku. Powtórki nie było, bo szybko zdążyłem zamontować osłonę ciepła. Paskudnie wiało po nogach i tyłku. Pięć minut w takiej lodówce i trzeba było się rozgrzewać setką żurawinówki albo wiśniówki. Wypić można, ale dlaczego od razu trzeba marznąć w domu, jeśli można na dworze, przynajmniej zdrowiej, bo na świeżym powietrzu.

Cień Ara nie opamiętał się. Przytulił się tylko do Żony Ara tak, jakby zrobił to sam Ar. Ar się nie zorientował i Żona Ara też, że wszystko odbywa się w równoległych światach.

ARKADIUSZ FRANIA